

MUZA W KŁOPOTACH.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

O S O B Y:

DYREKTOR TRUPY.

ŻANETA, pierwsza dramatyczna.

KLOCIA, naiwna.

RZEPOWSKA, matka szlachetna.

SZUMSKI, kochanek bohaterski.

ROLSKI, kochanek lekki.

WALEWICZ, aktor charakterystyczny.

KROSNY, ojciec szlachetny.

AUTOR dramatyczny.

ŚLISKI, recenzent teatralny.

SUFLEK.

BLUM, impresarjo.

KICIA, FELA — chórzystki.

MICHAŁEK, chłopak do posług.

Rzecz na prowincji.

Akt I-szy.

Scena przedstawia garderobę teatralną, reżyserską. Lustro stojące — stolik szafkowy z toaletą na wierzchu — szafka z egzemplarzami — biurko — krzesła, parę foteli — kanapka — stalugi do wieszania sukien — stolik z dominem. Drzwi wchodowe w głębi — dwoje drzwi po bokach. Fotel reżyserski przed biurkiem.

Osoby, nie biorące udziału w dialogu, przez czas dłuższy, powinny zabawiać się grą w domino.

SCENA PIERWSZA.

MICHAŁEK, później AUTOR.

Za podniesieniem zasłony — chłopak w kurtce sprząta i ustawia krzesła, gwizdząc sobie. Po chwili wchodzi autor z rękopisem. Młody, wzrok krótki, chód żywy. Rozgląda się, siada, nie może jednak usiedzieć na miejscu, to się przechodzi, to przegląda egzemplarze, rusza wszystko, spogląda co chwila na zegarek — niecierpliwi się.

AUTOR (po raz trzeci dobywając zegarek — do siebie):
Pięć minut po jedenastej!.. (do Michałka) Próby dziś nie będzie, czy jak?

MICHAŁEK (sprzątając): Co nie ma być? (gwizdże dalej).

AUTOR: Naznaczona na jedenastą a już sześć minut po!

MICHAŁEK: Ino ich patrzeć. — U nas Panie akuratność, niech Bóg Jedyny broni!.. Ot, ktoś idzie...

(wchodzi Walewicz).

SCENA DRUGA.

AUTOR, WALEWICZ, MICHAŁEK.

(Michalek po pewnym czasie, ukończywszy sprzątanie, oddala się głębia).

AUTOR: Jakże się też państwo spóźniacie, to jak Boga kocham! że... Dziesięć minut po jedenastej.

WALEWICZ: Do mnie ta wymówka? do mnie, który w I-ym akcie nie wchodzi wcale? Co prawda, i w drugim nie wiele. W trzecim odzywam się raz jeden, no i już!.. Cacana rola!.. Aż miło!

AUTOR: Wszystkie role nie mogą być główne, panie Walewicz, to trudno.

WALEWICZ: Wolałbym już rolę Krosnego.

AUTOR: Krosny to samo mówił mi wczoraj o pańskiej. (wchodzi Rzepowska).

Witam panią.

SCENA TRZECIA.

AUTOR, WALEWICZ, RZEPOWSKA.

RZEPOWSKA: A ślicznie pan postąpiłeś ze mną!

AUTOR: Naprzykład?

RZEPOWSKA: Pokieraszowałeś egzemplarz, że z mojej roli zostały — o! same strzępy!

AUTOR: Wszakżeś pani pierwsza głosowała za skróceniem sztuki.

RZEPOWSKA: Przez życzliwość dla autora. Ale nie za skróceniem mojej roli, rzecz prosta. Ona i tak, żal się Boże!

(wchodzą Żaneta, Kłocia, Szumski, Rolski, Krosny).

SCENA CZWARTA.

AUTOR, WALEWICZ, RZEPŃWSKA, ŻANETA, KŁOCIA, SZUMSKI, ROLSKI, KROSNY.

ROLSKI: Al szanownego Autora!.. Pyszna komedja! pyszna! A rola! buzi! (całuje swoje palce) Umiem jak pacierz!

ŻANETA: Za to ja, ani w ząb. Nieznośna migrena nie pozwoliła mi się uczyć.

AUTOR (na ucho): Migrenie tej, jak na imię, jeśli spytać wolno?

ŻANETA: Jak na imię migrenie?.. Cóż to znowu?

AUTOR: Czy nie Władysław przypadkiem?

ŻANETA: No, no, tylko bardzo proszę, bo się pogniemy.

KLOCIA: Gdzie dyrektor? nie przyszedł jeszcze?

RZEPOWSKA: Nie.

KLOCIA: Co to znaczy?.. On, zawsze tak punktualny!

WALEWICZ: Widocznie się zniechęca. Nie dziwota. Najwytrwalszemu opadają ręce, wobec takiej puchy... Wczoraj na sali z woźnymi razem — może było pięć osób...

ROLSKI: Dwie nowe sztuki w tygodniu.

SZUMSKI: I to jeszcze jakie sztuki!

WALEWICZ: Właśnie dla tego! Woleliby farsy!

ŻANETA: Pracujemy, staramy się...

WALEWICZ: Po to, by odwoływać widowiska, jak wczoraj naprzykład!

ŻANETA: Aż wstyd pokazać się na ulicy!

KROSNY: Co tam na ulicy!.. Gorzej, w restauracji! Kufelka piwa nie chcą dać na kredę!

AUTOR: Moja komedia uratuje finanse trupy.

WALEWICZ (na stronie): Prędzej sama położy się trupem.

(wchodzi Dyrektor).

SCENA PIĄTA.

CIŻ i DYREKTOR.

DYREKTOR: Spóźniłem się cokolwiek... ale... Z nami źle, państwo, kompletnie źle!.. Wczorajsze fiasco do reszty

podcięło kredyt. Dziś, skoro świt zleciała się cała czereda. Właściciel teatrzyku, właściciel hotelu, krawcy, szewcy, zgola kto żyw krzyczy, wymyśla, grozi zlicytowaniem!!... To mi dola! niech piorun trzaśnie takie życie!

WALEWICZ: Radziłem zamknąć budę. Dzisiaj ludzie nie chcą porządnego teatru, tylko błazeństw.

KLOCIA: Jedźmy gdzieindziej.

WALEWICZ: Wszędzie jeden djabeł.

DYREKTOR: Na dobitkę odmówiono nam gazu.

WSZYSCY: Aaa!

DYREKTOR: Jeśli do 6-ej nie uiszczę zaległości, grać będziemy po ciemku.

WSZYSCY: Chryste Panie!

WALEWICZ: Podła dziura, nie miasto!

DYREKTOR: Ja tu nie wytrzymam dłużej, jak mi Bóg miły, nie wytrzymam. Co robić! mówcie państwo, radźcie...

AUTOR: Nie zrażać się, iść dalej.

DYREKTOR: Al i nasz autor tutaj! Nie uważałem, przepraszam, przepraszam. (witają się).

AUTOR: Nowości, jak najwięcej nowości. Może moja komedia przyciągnie — mam wpływy — znają mnie tu w Gapijowie.

DYREKTOR (z determinacją): Ha, zobaczmy!.. W każdym razie probujmy, walczmy do ostatka. Dalej państwo, na scenę — Sufler... (woła) Sufler! gdzie sufler?

ROLSKI (wołając): Sufler! — Nie ma, nie przyszedł jeszcze.

DYREKTOR: Co! nie przyszedł?... Próba o jedenastej.

AUTOR (patrzac na zegarek): Trzy na dwunastą.

DYREKTOR: Do licha ciężkiego! Zachorował czy umarł?

KROSNY: Z głodu, ani chybi. My tu wszyscy na tę chorobę skończymy nie zadługo.

SZUMSKI: Mnie się spieszy.

AUTOR: Więc może byśmy zaczęli?

ROLSKI: Jakże, bez suflera?

KLOCIA: A przecież pan chwaliłeś się, że umiesz...

ROLSKI: Za to panna Klotylda pewno ani czytała.

KLOCIA: Ja? Pan Ignacy zawsze do mnie coś cierpi...

ROLSKI (w czoło): Wszakże to pani zaczepia mnie bezprzestannie.

(wbiega sufler zadyszany).

SCENA SZÓSTA.

CIŻ i SUFLER.

DYREKTOR: Panie Sobczyński, a pan sobie co u trzystu djabłów, myślisz?... O południu się zjawiasz?

SUFLER: Przepraszam, stokrotnie przepraszam pana Dyrektora. Traf nadzwyczajny! niesłychane zdarzenie!

RZEPOWSKA: Cóż tam?

DYREKTOR: Eh, do kroćset!

ŻANETA: Co się stało?... Mów pan.

SUFLER (zadyszany): Zaraz, zaraz, niech odetchnę. Nie tyle zdarzenie, ile spotkanie. Spotkanie, które może uratować całe towarzystwo.

DYREKTOR: Hę?

WALEWICZ: Baj baj! Nas już i sam Lucyper nie uratuje. Lecimy na dno.

SUFLER (tryumfująco): Eh! eh!

RZEPOWSKA: Na loterii pan wygrałeś, czy co?... Gadję przecie...

SUFLER: Wygraliśmy wszyscy. Pan dyrektor i pani i w rumel wszyscy, jak tu stoimy.

WALEWICZ: Oszalałeś?!

SUFLER: Wielki los dla całej kompanji. Oto spotkałem... Bluma.

SZUMSKI: Bluma?... Zawracanie głowy! Blum z operetką zjeżdża na lato do Warszawy.

KLOCIA: Ah, jak jabym rada do Warszawy!

SZUMSKI: Złapał jakiegoś frajera z nabitą kieszą, wmówił w niego, że to złoty interes... Frajer uwierzył. Zaangażowali najpierwsze siły, nasprawiali rekwizytów i jazda!

SUFLER: Otóż właśnie, że nie jazda! Ponieważ owe pierwsze siły zawiodły. Prymadonnę ktoś wykradł, tenor ochrypł, naiwnej zdarzył się wypadek... taki oto (pokazuje przy samej ziemi lub kołysze niby dziecko) maleńki wypadek... Inni się rozproszyli i Blum osiadł na koszu.

ROLSKI: Czy być może!

DYREKTOR: Zresztą, co nas to obchodzi! Zaczynamy.

AUTOR: Zaczynamy, na miłosierdzie Boże, zaczynamy! Ja tu przerobiłem jedną scenę.

SUFLER: Obchodzi o tyle, że Blum pragnie porozumieć się z p. Dyrektorem...

DYREKTOR: Ze mną?

SUFLER: Drze się za łeb, że mu się fortuna z rąk wyślizgnie, jeśli go nie poratujemy.

DYREKTOR: Nie poratujemy?.. Kto? My niby?

SUFLER: Oczywiście. On pragnie... to jest, radby... Ale najlepiej opowiem od początku, to p. dyrektor zmiarkuje sam, co to za świetny projekt.

DYREKTOR: To gadajże pan już do trzystu... a prędko.

SUFLER (otoczony przez wszystkich aktorów): Zaraz. Wyszedłem z domu bardzo rano, prawie przed siódmą. A nie, kłamię, więcej było — w pół do ósmej — tak, w pół biło na miejskim zegarze. Spieszyłem do apteki po lekarstwo, bo mi żona całą noc kwękała na fluksję. Biedactwo strasznie często cierpi na fluksję i jedynie kataplazmy z lnianego siemienia...

DYREKTOR (przerywa): Do rzeczy, do rzeczy...

SUFLER: Powracam tedy do domu z owym siemieniem (wyjmuje z kieszeni pakiecik i pokazuje) gdy oto na skrócie ulicy, spostrzegam...

RZEPOWSKA: Blum!

SUFLER: Nie, nieee! — Pannę rejentównę. Gęstym woalem zakwefiona, sunie szybko, bojaźliwie, rozglądając się

dookoła. Mnie coś tknęło. Schadzka myślę — ani chybi. — Ale z kim?.. Panienska młoda, ojciec despota... Za grzech jej tego nie poczytywałem. Myśmy wszyscy swojego czasu...

(oznaki niecierpliwości w grupie).

DYREKTOR: Oszalałeś pan z takim opowiadaniem!.. Do rzeczy! Co nas jakaś tam p. rejentówna obchodzić może. Prędzej.

SUFLER: Zaraz. Gdy tak stoję i rozmyślam, ile to nieraz złego despotyzm ojcowski...

ROLSKI (przerywa): Panie!

SUFLER: No, mniejsza. Nagle, wprost niej, wynurza się z jakiegoś zaułka, czy bodaj z pod ziemi...

RZEPOWSKA: Blum!

SUFLER: Gdzie zaś! Pan kasjer pocztowy. Składa ukłon. No, myślę — kasjer, kawaler kaucjonowany — złego niema nic. Skłonność sercowa — a wiadomo, że najszcześliwsze stadła ze skłonn...

WALEWICZ (przerywa): Niel.. to przechodzi wszelką miarę!..

DYREKTOR: Albo pan gadaj, do kroćset, o Blumie, albo daj nam święty spokój ze swoimi andronami!

SUFLER: Już, już!.. Lecz na czymże to ja stanąłem?.. Aha! zakręcają ku stacji kolejowej. Tam do djaska! Ucieczka!.. Znać fater nie pozwala...

DYREKTOR: A niech pana jasny piorun trzaśnie! Cóż Blum? Co Blum projektuje?

SUFLER: Ano Blum, jak Blum. Właśnie wysiadał z wagonu. Bo ja za tą parą — mimo iż żona w domu na

siemię czekała—aż na dworzec panie tego... zawędrowałem —
dalibóg — dziwiąc się ich nieogłędności, że tak razem w bia-
ły dzień...

DYREKTOR: Miljonkroć!..

SUFLER: Kiedy wysiadająca z drugiej klasy, jakaś
podżyła jejmość, do której panina rejentówna rzuciła się z po-
witaniem, dowiodła mi, ile podejrzenia moje płonne były
i jakto nie należy z pozoru...

DYREKTOR: A to jak Boga kocham, wściec się moż-
na!.. Blum? cóż Blum?

SUFLER: Blum, zoczywszy moją facjatę, aż krzyknął
z radości. — „W Gapiejewie pokazujecie?“ — woła... „Niebo
was zesłało!..“ I ściska mnie i całuje...

DYREKTOR: Dalej, dalej!

SUFLER: Kończę. Otóż — powiada — o was ciągle
myślałem. Ułożymy rzecz w ten sposób, że będzie i wilk
syty i owca cała. Jedna i druga strona zarobi grubo.

DYREKTOR: Zarobi!.. ale na czymże? na czym? do
trzystu!..

SZUMSKI: To mi narator, bodaj go jasności...

SUFLER: Tylko zamiast przeszkadzać sobie wzajem-
nie — powiada — połączmy się.

DYREKTOR: Co! co!

SUFLER: Chce wziąć naszą trupe.

DYREKTOR: Hę!

RZEPOWSKA: Bzika dostał!.. My nie do operety.

DYREKTOR: Aha! teraz! skoro inni go zawiedli. Cze-
muż to pierw nie przypomniał sobie nas, mnie, swego nau-

czyciela. Boć przecie nie gdzieindziej, tylko w mojej kom-
panji, rozpoczął karierę sceniczną. (zmieniając ton po chwili)
Nie należało przynajmniej przyznawać się, że tak krucho z na-
mi. Lecz pan pewno wypaplałeś, no, przyznaj się.

SUFLER: Ph!.. co tam! Dość mu było spojrzeć na
moją personę, by poznać, co się święci. Zafundował mi za-
raz śniadanko u Rymkiewicza — powiadam panu Dyrektoro-
wi — królewskie!.. Flaki! schabik z kapustą, delicje! porter
angielski! pod słowem honoru, angielski! mnia! mnia!

KROSNY: Dobry porter u Rymkiewicza?

SUFLER: Aa! Nawet dla żony mojej... bo nie wiem
czy wspominałem państwu, że nieboraczka całą noc na fluksję...

WALEWICZ: Ależ wiemy! Ah, cóż to za cholera!..

SUFLER: Ona od pewnego czasu, nieboga, okropnie
często zapada na zęby, twarz jej puchnie... Suponujemy, że
to... (szepce na ucho Rzepowskiej).

RZEPOWSKA: A! winszuję, winszuję.

SUFLER: I jedynie kataplazmy z siemie...

SZUMSKI (w najwyższem zniecierpliwieniu): A żebyś
pan z tym siemieniem!

SUFLER: Zaraz — lecz do czegoż ja to prowadziłem?
Aha! otóż dla żony mojej: pomarańcz, bakalji, wina. Skoro
przyszło do zapłaty — ja patrzę, a on dobywa pulares niby...
harmonijkę...

ŻANETA, KLOCIA: Niby harmonijkę!

SUFLER: Cały wypchany banknotami! o tak!.. (rozcią-
ga i zbliża ręce, imitując grę na harmonijce) o! tak! Jak Pana
Boga kocham! o tak. (jak wyżej).

KLOCIA: Wszystko od tego frajera? Cóż to za jeden?

SUFLER: Kto?

KLOCIA: No, ten frajer!

SUFLEP: Jakiś podobno obywatel wiejski.

WALEWICZ: Szlagon?.. To powinien być goły.

SUFLER: Tymczasem przeciwnie. Młody chłopak, brzydujący się gospodarstwem.

(wchodzi krytyk).

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i ŚLISKI.

DYREKTOR: Czołem!

ŚLISKI: Dzień dobry państwu, dzień dobry! Cóż tu nowego?

AUTOR: Niema dziś próby.

ŚLISKI: Niema! Po lichaż ja tak pędziłem? Czy kto zachorował?

(rozmawiają dalej).

SUFLER (w dalszym ciągu): Blum układa teraz coś zupełnie w nowym rodzaju, coś u nas niebywałego dotąd.

WALEWICZ: Naprzykład?.. Brzuchomóstwo? Chodzenie na głowie?

SUFLER: Niby to opereta a nie opereta. Niby Café chantant.

WSZYSCY: Fi! fi! fe! fu!

SUFLER: Ale nie Café chantant. Jakieś widowisko.

ŚLISKI: Któremu trudno dać nazwisko.

SUFLER: Widowisko pełne urozmaïcenia, składające się z luźnych scen, śpiewów, deklamacji, tańca...

KROSNY: Zgoła: bigos hultajski.

ŚLISKI: Znam to, znam. Zagranica karmi się tym „bigosem” od niepamiętnych czasów, z jak najlepszym dla dyrektorskich żołądków — skutkiem.

DYREKTOR (żywo): Doprawdy?

AUTOR: U nas, dzięki niebu, żadna polska scena dotąd...

ŚLISKI: Przyjdzie do tego, przyjdzie — przyjść musi, zobaczysz kolega. Publiczność sama urabia sobie teatr.

AUTOR: A jabym powiedział przeciwnie — że to raczej sprośne sztuczki dla paczą jej smak.

SUFLER: Blum zapewniał dalej, że zapłaci długi towarzystwa, wykupi je z hotelu.

ROLSKI: Zapłaci! wykupi! Drogi, kochany chłopysio! dawajcież go tutaj co rychlej!

SZUMSKI: Dawajcie! dawajcie!

AUTOR: Jako! i państwo gotowicie, gwoli zysku... w operetce...

ŻANETA: Ja! nigdy! za nic w świecie! Nawet za sto rubli miesięcznie!

SZUMSKI: Jam znowu nie taki srogi. Gram co mi każą, byle raz wyleźć ze szponów Izraela.

RZEPOWSKA: Fi, wstydz się pan! wstydz!

AUTOR: I dyrektor zdecydowałbyś się?..

ŻANETA: Dyrektorze?!

DYREKTOR: Ależ ja nie mówię nic. Ja sam nie wiem... Państwo widzicie, że robię co mogę — ale z pustego i Salomon nie naleje. Onegdaj mieliśmy ośm rubli w kasie, wczoraj odwołaliśmy spektakl, bo... tfy, i trzech nie było. Kroćset djabłów, tak dalej istnieć niepodobieństwo! Aktorzy sami porzucają mnie, gdy... no, nieprawdaż?

RZEPOWSKA: Lepiej do służby pójść, niż patrzeć na taką poniewierkę sztuki!.. Café chantant! okropność!!

AUTOR: Sama nazwa dowodzi, że cudzoziemski ten wytwór, nie przyjmie się na naszym gruncie.

ŚLISKI: Eh, jeśli o tytuł chodzi, nic łatwiejszego nad przetłumaczenie go na polski.

AUTOR: Ciekawym?

ŚLISKI: Ano po prostu: „Kawa śpiewająca“.

AUTOR: O żadnej „kawie śpiewającej“ — jak żyję nie słyszałem.

ŚLISKI: Ale na: „herbaty tańczące“ kolega uczęszcza. Skoro więc jest herbata tańcząca, dlaczego nie mogłaby być: „kawa śpiewająca“ pytam.

AUTOR: Herbata się utarła.

ŚLISKI: Utrze się i kawa.

AUTOR: Wreszcie mniejsza o inne, chodzi o samą rzecz, wysoce nie moralną.

DYREKTOR: To zależy od programu. Będzie się wykonywało rzeczy przyzwoite, spektakl będzie przyzwoity — i odwrotnie. Jakkolwiek moim zdaniem, trochę pieprzyku nie zawadzi.

ŚLISKI: Niech mnie kule... jeśli rozumiem podobną pruderję. — Słyszac państwa, myślałby kto — słowo honoru — że wśród nas kwitnie istotnie dotąd niewinność Arkadyjska, obyczaje patriarchów biblijnych. Tymczasem co tu owijać w bawełnę. Dzieją się i u nas... ajajaj!.. Człowiek, panie dobrodzieju, wszędzie jest człowiekiem a hypokryzja to najwstrętniejsza ze wszystkich wad ludzkich.

AUTOR: Słowem, kolega zdajesz się sankcjonować ten rodzaj widowisk?..

ŚLISKI: Ph! przyznasz pan, że surogat kawy, prócz dozy narkotyku mieści jeszcze w składowych swych częściach wiele pierwiastków odżywczych, posilnych, które dla wycieńczonych postem organizmów towarzystwa...

KROSNY: Ja sam liczę się do wielkich zwolenników kawy, zwłaszcza po obiedzie.

ŚLISKI: Czyliż przeto dla jakichś tam urojonych skrupułów przestarzałej etyki — godzi się pozbawiać tę uroczą, działawę Apolina, jedyne go środka ocalenia, jaki jej medycy... nie! pan Blum podaje?

WALEWICZ (do Rolskiego): Jemu się zdaje, że pisze artykuł!

ŻANETA: Dla czegoż prasa nas nie popiera, nie nawołuje do teatru?

ŚLISKI: Małoż jeszcze! Aż nam prenumeratorzy wymyślają!.. Ale państwu nigdy nie dosyć! to wiadomo.

KROSNY: Eh, po licha tyle gadania! Poważny teatr ludziom się przejadł i kwita! Nie pomoże prasa, nie pomoże Szekspir ani Słowacki. Ludziska skłopotani chcą się pośmiać, rozerwać... Co się tu dziwić i gromy ciskać? — Ciężkie

czasy. Każdy radby zapomnieć o tem, co go gniecie — to proste.

ROLSKI: Jak obręcz.

KLOCIA: Więc mamy śpiewać?

KROSNY: Alboż i tak nie śpiewamy... Tadeusza!

RZEPOWSKA: Skakać, hece wyprawiać!

WALEWICZ: No, pani skakać nie będziesz.

ŻANETA: Ani z nas żadna, możesz pan być pewny.

RZEPOWSKA: Nasze aspiracje są wyższe. My artyzm uważamy jako kapłaństwo, siebie... za kapłanki!

WALEWICZ (na ustr.): Kapłanki!.. ty zwłaszcza, stara grzesznico! (głośno) To też chodzimy w dziurawych butach.

DYREKTOR: Kwestja, czy zyskamy na zamianie?

SUFLEK: W każdym razie, nie stracimy, to pewna. A nie uda się próba, wrócimy do wentylów w podeszwach!

KROSNY: Błogo choć przez jakiś czas, jadać o swojej porze.

ROLSKI: Póki się szlachecka harmonijka nie wyszlamuje.

KLOCIA. A jaki też przypuszczalnie dałby dyrektor afisz?

DYREKTOR: Niby tytuł?... Ano, bo ja wiem... do licha! ano, chyba: „Kawa śpiewająca“.

KROSNY: Eh nie, trzebaby coś efektowniejszego, zgodniejszego z charakterem przedstawienia. Coś całkiem nowego—np. „Quod libet“ o! Co kto lubi!

RZEPOWSKA: A pięknie mi nowego!.. Afisz taki czytałam przed stu laty.

WALEWICZ: Co! liczysz pani już setkę wiosen!

RZEPOWSKA: Do pana nie mówię.

SUFLEK: Więc: „Mélange“ — ponieważ składa się z różnych różności.

KROSNY: Wyraz obcy — przytem przypomina pół funta „mélange'u“ do herbaty.

ROLSKI: Mille fleurs.

SZUMSKI: Zbyt wonny.

ŚLISKI: Tutti frutti. Olla podrida.

AUTOR: Czemuż nie: „Zupa Rumfordzka“?

DYREKTOR: Zgoła, niema tytułu.

(pauza)

KROSNY (po pauzie): Eureka! jest! — Deska...

WSZYSCY: Co! co!

KROSNY: Deska ocalenia.

WALEWICZ: Ja powiem: ponieważ to mają być widowiska próbne, czy się utrzymamy lub nie — zatem nazwijmy: „Próba Teatru Nowości“.

ROLSKI: A po cóż u djaska: „próba“ — skoro Teatr Nowości istnieje i wcale nie zgorzej mu się wiedzie.

WALEWICZ: Tedy „próba ratunkowa“.

ROLSKI: „Pogotowie!“

DYREKTOR: Wszystko na nic. „Kawa Śpiewająca“ powiadam państwu — kawa!

RZEPOWSKA: Ja „w kawie“ występować nie będę.

DYREKTOR: Więc „kawiarnia“.

RZEPOWSKA: Tem mniej w kawiarni! Zgroza!

ROLSKI: Napiszemy na afiszu: „Bez dogma...“ nie!
„Bez tytułu“ i jazda.

WALEWICZ: „Teatr w opałach“ — „Muza w zastawie“.

ROLSKI: Ogłosimy konkurs na tytuł.

WALEWICZ: Rezultat otrzymamy za kilka miesięcy.
W samą porę!

AUTOR (do Dyrektora): Najgorzej na całej tej sprawie,
wyjdę ja. Komedja moja pójdzie ad acta.

DYREKTOR (uprowadzając go na stronę): To może
i lepiej dla autora.

AUTOR: Hę?

DYREKTOR (na ucho): Byłaby kłapa.

AUTOR: Co?!

DYREKTOR: Jak szanuję pana. Ja przecież znam się
na tem.

AUTOR: Po cóż więc ją Dyrektor przyjąłeś? Utrzymy-
wałeś co innego?

DYREKTOR: Tonący brzytwy się chwyta. Liczyłem
na pańskie stosunki, poparcie...

AUTOR: Jakto! ja nie mam talentu?

DYREKTOR: Przeciwnie, przeciwnie i duży! Lecz właś-
nie dla tego, że go pan masz, żeś prawdziwym poetą, nie
będziesz pisał dla oklasków, ani łasił się krytykom dla recen-
zji — a to grunt panie, warunek sine qua non powodzenia.

Podobnym zasadom hołdowałem i ja — i oto widzisz, do cze-
go mnie doprowadziły!...

(wpada wystraszony Michałek).

MICHAŁEK: Panie Dyrektorze, p. Dyrektorze! kumor-
nik idzie!

WSZYSCY (w przerażeniu): Komornik!

MICHAŁEK: Z dwoma obszarpańcami grzmi tutaj pro-
sto. (odchodzi).

DYREKTOR: Do kroćset! już! (do autora) O! słyszysz
pan? Do komornika mnie doprowadziły!.. Robię tedy wolę,
w miejsce tragicznej maski, przyodziewam czapkę z dzwonka-
mi i dalej w drogę. Trzeba chociaż na starość mieć rozum
praktyczny. (odchodzi, za nim: Autor, Śliski, Krosny, Rolski,
Szumski, Sufler).

SCENA ÓSMA.

RZEPOWSKA, ŻANETA, KLOCIA, WALEWICZ.

RZEPOWSKA: Dyrektor coś na serjo myśli o tem be-
zecenstwie...

ŻANETA: Ja podejrzewam, że on oddawna nosił się
z tym projektem, tylko nie miał odwagi...

WALEWICZ: Bogiem a prawdą, wszyscyśmy po tro-
sze — zastanawiając się nad naszą biedą — szukali nowych
dróg.

RZEPOWSKA: Ja nigdy! raczej zginąć!

WALEWICZ: Eh, pani zawsze byłaś deklamatorką, nic więcej.

RZEPOWSKA: A pan impertynent i zółć chodząca.

WALEWICZ: Znieść nie mogę fałszywego patosu.

RZEPOWSKA: Jak ja, rubaszości.

WALEWICZ: Będziemy otóż śpiewać, tańczyć, błaznować — na złość pani.

RZEPOWSKA: Wolna wola. Mnie tam żadna moc ludzka do zadzierania pięt nie skłoni.

WALEWICZ: Nikt się też o to kusić nie będzie — bądź pani spokojną.

RZEPOWSKA: Ja! matka Hamleta!.. Ja! lady Makbet, mam mizdrzeć się niby jaka subretka!.. Ja! Elżbieta Angielska! ja, księżna de Bonillon, za nic nie poniżę godności mojej nie będę pokazywała... zgrabnej nóżki. (pokazuje).

WALEWICZ: Bagatela!.. Żeby pokazywać, trzeba mieć.

RZEPOWSKA: A co! Pan gotówes powiedzieć, jak matkę kocham, że ja nawet nóg nie mam!

(Klocia w lustrze układa różne pozy).

WALEWICZ: Uchowaj Boże!.. Ot także!.. i jakie jeszcze! (pokazuje przesadną wielkość) Tylko pani wspomniała o zgrabnej!

RZEPOWSKA (odwracając się od Walewicza): Gbur! (do Żanety) Cóż panna Żaneta mówi o tem wszystkiem?

ŻANETA: Ha cóż!.. Albo mnie kto pyta!.. Ja tu nie znacze nic! Ja tu jestem ostatnia!

WALEWICZ (na stronie): Obłudnica!.. (głośno) A któż to, nie pani, grasz wszystkie główne role?

ŻANETA: Jeszcze by też!... Przecież pierwszą dramatyczną!

KLOCIA: Zazdroszczę ci — mnie moja naiwność obrzydła do cna.

ŻANETA: Najgorzej, że wiecznie naiwną być nie podobna.

KLOCIA: No, to i bohaterce nie do twarzy ze... zmarszczkami.

RZEPOWSKA: W dramacie, to się tam zawsze jako tako przydać można — ale z tem, co teraz chcą z nas zrobić — bywaj zdrów!

WALEWICZ: Ja tam się nie trapię. Przywdzieję sukmanę i będę ciął swojskie kuranty aż miło!

(na nutę krakowiaka — śpiewa):

„Z tamtej strony Wisły kąpała się wrona —

„Pan Rzepowski myślał, że to jego żona! hu! ha!

RZEPOWSKA: Ah! nicpoń!

(Walewicz ucieka, Rzepowska go goni).

SCENA DZIEWIĄTA.

ŻANETA, KLOCIA.

ŻANETA: Cóż ty tak ciągle przeginasz się w tem zwierciadle?

KLOCIA: Probuje, jak się wydam w nowym rodzaju!

ŻANETA: Ph! „naiwna“ może zawsze puszczać się na wiele! z naiwności.

KLOCIA: A dopieroż w projektowanych widowiskach! ba, ba, ba!.. Zamiast wiekuiście skromnie spuszczać oczęta, rumienić się, bąkać pod nosem: „oh paniel ah paniel tak paniel! nie paniel..“ Nic nie rozumieć, udawać głupie gąsie — mogę raz przecie być sobą, to jest: wesołą, szczerą, czupurną... ot tak... (gra) dziewczyną!.. Przebrać się za chłopca, za studjoza, zalecać się do niewiast (podkręca wąsa) hulać, bąblować tra la la (tańczy) tra la la! (śpiewa) A ładnie mi będzie w kurtce... albo i... daruj Żańciu... albo i bez... kurtki! Za pana naprzykład... tra, la, la! (śpiewa i tańczy) la la la!.. Im mniej materiału na ubranie, tem... tem klasyczniej, nieprawdaż? Tra la la... la! la! Tem korzystniej dla wdzięków i... kieszeni... Tra la la... Oszczędność przedewszystkiem... tra la la... Na takiej oszczędności, fortunę zrobić można... co nie? Tra la la... (ciągle przed lustrem) Z takim zwłaszcza ramieniem (odśłania i wyciąga ramię) Spójrz Żanetko. — Tra la la... lub nóżką!.. Spójrz Żanetko... Tra la la... Czy to nie szkoda podobnie utalentowane... szczegóły chować pod korcem... tra la la, la la!.. Spójrz Żanetko.

ŻANETA: A dajże mi spokój. Nie przypuszczałam, że tak mało posiadasz...

KLOCIA (przerywa): Czego? czego posiadam za mało?.. O, przepraszam—wszystkiego mam w miarę, jak być powinno.

ŻANETA: Za mało posiadasz... wstydu.

KLOCIA: He? co!

ŻANETA: Sądziłam, że znajdę w tobie poplecznickę... że we dwie łatwiej oprzemy się dyrektorowi...

KLOCIA: Spójrz, Żanetko — tra la la! (tańczy).

ŻANETA: Widzę, widzę, co z „naiwnych“ tworzy sposobność.

KLOCIA: Nie tworzy, Żańciu, nie tworzy—ona rozwija, co drzemie w nas. Ja od dzieciństwa lubiłam kawę, nie przypuszczałam jednak, że w tem tkwiło powołanie! Tra la la...

ŻANETA: Ah, przestańże...

KLOCIA: To ty porzuć te swoje pozy wyniosłe! Omdlewające spojrzenia zranionej łani! Tragiczno dramatyczne wykrzykniki: Raczej śmierć, raczej tysiąc śmierci niż hańbę zostania twoją kochanką „mości książe“! (śmieje się) Ha, ha, ha! co za błaga!... Ot lepiej, odchyl... rękawów i wytnij ze mną duecik.

(śpiewa kilkanaście taktów z operety).

ŻANETA: Nie potrafię. — Ja śpiewałam jedynie... „O wierzbo! wierzbo!“ (nuci śpiew Desdemony).

KLOCIA: O wierzbo! sucha wierzbo! djabel twym kochankiem!... To też za karę zdusił cię Otello.

ŻANETA: Eh, warjotka z ciebie! Ale co to za hałas? (biegną do okna) Blum! Blum zdąża tu ze swoim szlagonem!

KLOCIA: Eh, to jeszcze żółtodziób, ten szlagon!

ŻANETA: A cóż ty myślisz? Stary dałby pieniędzy?

KLOCIA: Ojoj! Właśnie stary, najprędzej stary.

ŻANETA: Ja bo nienawidzę starych... i zbyt młodych.

KLOCIA: Średniaki twój gust. He, he! Średniaki to mądre szpaki! (sentymtalnie) Pragną być kochani dla siebie samych, a potem żenią się z innemi! Oho! nie mnie brać na średniaków!

ŻANETA (ciągle przy oknie): Ho, ho, jak się szlagonowi kłaniają nasil... ah, ah, i Blumowi także. Oburza mnie podobna interesowność!

(oddala się na lewo).

SCENA DZIESIĄTA.

KLOCIA (sama): Oburza! aha!... Znam ja te świętobliwe oburzenia!... ojoj! na wylot. Głowę w zakład, że poszła się upudrować!... Ze wszystkich, ona, najdłużej opierać się będzie metamorfozie teatralnej, naturalnie. Za skarby świata nie wyjdzie na scenę w trykotach... naturalnie!... „Co za skromna dziewczyna“ pomyśli nie jeden (śmieje się). Ha, ha, ha. Wiem ja dobrze, co ta skromność znaczy. Gdzie jej źródło ukryte a raczej okryte!.. Biedaczka, bezprzestannie drży od zimna. W 30 stopniowy upał, nie może obejść się bez... waty! ha, ha, ha! Doktor polecił jej ubierać się ciepło — to też watę nosi tu, nosi tam, watę wszędzie! ha, ha, ha!... A! wraca! (do wchodzącej Żanety). Już po oburzeniu?

SCENA JEDENASTA.

KLOCIA, ŻANETA.

ŻANETA: Tak zimno w mojej garderobie.

KLOCIA (zmęczona): Aha! aha! No, może dla rozgrzewki poskaczemy trochę... Bądź moim kawalerem!

ŻANETA: Ja?

KLOCIA: Ty, Ofelja, Kordelja, Aniel!... dalej, bierz mnie w pól, dalej.

ŻANETA: Nigdy! Ja?... ja, która (deklujuje z patosem ustęp z Fredry, następnie, odrazu naturalnym głosem). Mamże po tych jękach, ująwszy się pod boki... (śpiewa z pani Angôt).

KLOCIA: Nieźle! wcale nieźle! jak mamę kocham!... A jak na bohaterkę dramatyczną, doskonałe!

ŻANETA: Ten gość szlachetny (gra). „Obrażasz moją godność, panie hrabio, wyjdź ztąd, wyjdź natychmiast“!... zmienić na grymas kokotki, przywołującej kantorowicza? (gra) Nigdy! przenigdy! Za nic w świecie! nawet za 200 rubli miesięczniel... Raczej się utopić, raczej się powiesić.

(wchodzą: Dyrektor, artyści, statyści, sufler).

SCENA DWUNASTA.

CIŻ, RZEPOWSKA, KROSNY, ROLSKI, WALEWICZ, SZUMSKI, SUFLER, kilku statystów i statystek.

RZEPOWSKA: Kto się chce powiesić?

ŻANETA: Ja.

SZUMSKI: Nie radzę -- brzydko się wygląda.

ROLSKI: Oj prawda, prawda. Widziałem jednego: język pokazał.

KROSNY: Wszyscy wisielcy tak samo.

WALEWICZ: I to mi się właśnie w nich podoba. Zejść z tego świata, pokazując mu język na pożegnanie, to wcale nie głupio, dalibóg, nie głupio!

(wchodzą Dyrektor i Blum).

SCENA TRZYNASTA.

CIŻ, DYREKTOR I BLUM.

DYREKTOR (do kobiet): Przedstawiam paniom dawnego kolegę, w nowym charakterze: Zwierzchnika impresarja. Pan Blum pragnie angażować państwa, spisać umowę i natychmiast pensję miesięczną wypłacić z góry.

WSZYSCY (uradowani): Aaa!

DYREKTOR: Nadto realizuje długi Towarzystwa, wykupuje całą kompanję.

WSZYSCY (j. w.): Aaah!

DYREKTOR: Czy państwo zgadzacie się?

ROLSKI: Czy się zgadzamy? bagatel!... Ależ bez wahania! bez namysłu! (do artystów) Daje zaliczki, płaci zaległości!... W górę go!

WSZYSCY: W górę! w górę! wiwat!

BLUM: Mnie jednak przysługuje prawo wyboru. Nie wszyscy będą mi przydatni. Nie wszyscy posiadają wymagane warunki.

ŻANETA: Ja pierwsza nie zgodzę się spaść tak nisko! Zostać szansonistką!

BLUM (z galanterją): Pani? spaść? Żarty! Gdziebądź się obrócisz, palma pierwszeństwa zostanie przy tobie!

ŻANETA: Tak się to zwykło mówić z początku.

BLUM: Pani grać będziesz w czym i na czym zechcesz — bodaj na mojem sercu!

ŻANETA: Ależ ja w tym kierunku...

BLUM: Spróbuj pani, a z twoim talentem podbijesz całą publiczność, jak podbiłaś mnie i tylu innych!

ŻANETA: Pana?

BLUM (ciszej): Może ja tu dla pani wróciłem.

KLOCIA: Ja również nie mam zamiaru.

BLUM: Przebóg! nasza naiwna!... Ależ panno Klotyldo, ja dla pani kostjum już obmyśliłem. Marzenie, nie kostjum! Z koronek i gazy. Obłoczek niebieski!

KLOCIA: Z koronek i gazy...

BLUM: Panowie również pomoc mi swoją przyrzekli.

KROSNY: Ha! Trudno! cóż robić. Jeść chce się każdemu.

RZEPOWSKA: Mnie tylko jednej pan nie przekupisz.

WALEWICZ (ciszej): Nie dróż się pani, bo nuż przekupywać nie zechce?

BLUM: I pani nam się przydać może, do... do ról komicznych.

RZEPOWSKA: Co! ja! wdowa po królach! Matka Gracchów!... Okropność! okropność!

BLUM: W takim razie, ustawimy pani tron... za bufetem, w foyer.

STATYŚCI I STATYSTKI: A z nami, z nami co się stanie?

BLUM: Państwa również postaram się zużytkować. Tymczasem zapraszam wszystkich na obiad, który, mam nadzieję, rozweseli najbardziej chmurne miny, ponieważ na de-

ser zagramy sobie na tej ot... harmonijce (ukazuje pękaty pu-
lares) Do stołu zatem.

WSZYSCY (wesoło): Do stołu! do stołu! wiwat Blum!
w górę go! niech żyje!

(wszyscy kierują się ku głębi).

ZASŁONA SPADA.

Koniec aktu I-go.

Akt II-gi.

Scena przedstawia ogród — z altaną w głębi. — Za podniesie-
niem kurtyny widać zapuszczoną firankę, zasłaniającą głąb
sceny. — Na proscenium wchodzi dyrektor, zbliża się do
orkiestry.

SCENA PIERWSZA.

DYREKTOR (do orkiestry): Czcigodny kapelmistrzu
i wy dzielni członkowie orkiestry!... Światu wiadomo z jak
niewzruszoną wytrwałością rozdiera!... (poprawia się) czarowa-
liście uszy słuchaczy, wykonywując przez lat tyle utwory
najgenialniejszych kompozytorów... W obecnej dobie atoli,
kiedy co żyje demokratyzuje się, kiedy nawet przeczyste Mu-
zy z wyżyn Helikonu, zstępują do bud jarmarcznych, by ciąć
kankana — musicie i wy, panowie, zniżyć niebotyczny polot
waszej gędźby do poziomu skromnego akompanjamentu. Za-
soby wokalne śpiewaków polecam delikatności waszej, o mi-
strzowie instrumentów rżniętych, a w szczególności instrumen-
tów dętych!... Nie machajcie smyczkami, niby Filistyńczycy
oślą szczęką; nie dmijcie w trąby, jak na Sądzie Ostatecznym,
ku wskrzeszeniu nieboszczyków... Oszczędzajcie zarówno

nerwy prześwieatnej publiczności, jak i rejestr wykonawców! Piano... piano, o sławetne dławidudy, tylko znowu nie „piano“ a przedstawienie powieść się musi.

(wchodzi z prawej Śliski).

SCENA DRUGA.

DYREKTOR I ŚLISKI.

DYREKTOR: A! naszego zasłużonego! czołem! czołem!.. Wszystko idzie, jak z płatka! Blum i jego frajer nie poskąpili harmonijki. Szyk całą gębą!... Chodzi jedynie, by szanowna prasa... Sądę, że łaskawy pan, artykułik przychylny...

ŚLISKI: Co! ja... ja mam was chwalić?!

DYREKTOR: Hę?

ŚLISKI: Trupa poważna, przerzucająca się w tyngiel tangiel! repertuar doborowy, ustępujący miejsca szopce...

DYREKTOR: Jezu Nazareński! Sam pan przecie przed tygodniem, tu, prawie na tem samem miejscu, utrzymywałeś, mówiłeś...

ŚLISKI: Eh! to co innego! Ja mogę mówić, co mi się podoba: różowo, zielono, niebiesko, ale pisać muszę w stałej barwie. Jako szanujący się dziennikarz, obowiązany jestem stać na straży obyczajów, bronić zagrożonej moralności. Sumienie dziennikarskie...

DYREKTOR (ustr.): Żebyś ty tak sto djabłów zjadł, jak ty wiesz co to sumienie...

(wbiegają z lewej Kłocia i Fela).

(Kłocia i Fela przebrane są w czerwone fraki, białe kamizelki i krawaty, czarne trykotowe spodeńki krótkie, czarne jedwabne pończochy, lakierowane trzewiki ze sprzączkami. Włosy ufryzowane krótko, po męzku).

SCENA TRZECIA.

DYREKTOR, ŚLISKI, KŁOCIA, FELA.

KŁOCIA: Proszę pana dyrektora, gdzie my stanąć mamy?

ŚLISKI: A! panna Kłocia! Panna Fela! prześlicznie! precudownie! niech mię kule biją!... Co za figurki! a nóż! no, no, no! (do Dyrektora) No, dyrektorku, może to jakoś nie będzie tak szpetne, tak gorszące, słowo honoru! Nóż! nóż! cacane!

DYREKTOR: Moje panny, weźcie no się trochę do pana recenzenta, chce nam sprawić lanie.

KŁOCIA: Co? lanie? jeszcze czego!... Niechno się pan poważy... Będzie miał do czynienia z Kłocią, a z Kłocią to nie przelewki! ho! ho!

ŚLISKI (z umizgiem): Ho! ho! proszę.

(dalej po cichu).

DYREKTOR: Na miejsca, panie. Fela z prawej, Kłocia z lewej strony zasłony. Dalej, jak uczyłem. Panie Śliski, proszę ze sceny. Dzwonię. Ale, ale! możeby tak króciuchną mówkę do publiki z objaśnieniem nowego rodzaju widowiska... (deklamuje) Prześwieatni obywatele, szlachetnego miasta Gapiejewa. Doznając stale...

ŚLISKI (przerywa): Czego?... czego doznając stale?...
Pustek? niepowodzenia?

DYREKTOR: Ah, te puchy! prawda! prawda!... Podła
dziura! obejdzie się bez mówki: dzwonię.

(dyrektor i Śliski znikają w kulisie. Sufler wchodzi do budki.
Kłocia i Fela ujmują za brzegi zasłony w środku sceny. Dru-
gi dzwonek za kulisami.

Zasłona odsuwa się w ten sposób, że razem z nią Kło-
cia i Fela usuwają się, każda w swoją stronę i stają: jedna
w lewej, druga w prawej kulisie — pozostając widziane przez
publiczność do końca numeru i rzekomo podtrzymując zasło-
nę. Po skończonym numerze, zasuwają firankę, znikają je-
dnocześnie, w miarę jej zasuwania. — Ta sama akcja powta-
rza się przy każdym numerze.

Na akt II-gi składają się: arje, piosnki, duety, tercety,
deklamacja a nawet muzyka na jakimbądź instrumencie. Akt
III-ci wypełnia jeden akt operety.
